

JERZY
KOSIŃSKI

Malowany ptak

Jedna z najgłośniejszych i najbardziej
kontrowersyjnych książek drugiej połowy
XX wieku. Budząca przerażenie,
ale i skłaniająca do refleksji.



1

Jesienią 1939 roku, w pierwszych tygodniach drugiej wojny światowej, rodzice sześciolatniego chłopca z dużego wschodnioeuropejskiego miasta wysłali go do odległej wioski, aby tam – podobnie jak tysiące innych dzieci – znalazł bezpieczne schronienie.

Pewien człowiek, który udawał się na wschód, zgodził się, za sowitym wynagrodzeniem, umieścić dziecko u chłopskiej rodziny. Nie mając innego wyjścia, rodzice powierzyli mu syna.

Wysyłając chłopca na wieś, byli przekonani, że właśnie w ten sposób mogą mu najlepiej zapewnić przetrwanie. Ze względu na antyhitlerowską działalność jego ojca w okresie międzywojennym sami również musieli się ukrywać, aby uniknąć zesłania na roboty do Niemiec lub uwięzienia w obozie koncentracyjnym. Chcieli uchronić syna od tych niebezpieczeństw i mieli nadzieję, że z czasem znów się połączą.

Jednakże bieg wypadków udaremnił ich plany. W zamieszaniu spowodowanym wojną i okupacją oraz ciąg-

łymi przesiedleniami ludności, stracili kontakt z człowiekiem, który ułożył dziecko na wsi. Musieli liczyć się z tym, że nigdy go nie odnajdą.

Kobieta, która wzięła do siebie chłopca, umarła dwa miesiące później. Od tej chwili wędrował samotnie od wioski do wioski; czasem udzielano mu schronienia, czasem go odpędzano.

Wsie, w których przyszło mu spędzić następne cztery lata, różniły się pod względem etnicznym od jego miejsca urodzenia. Tubylcza ludność, odizolowana od świata, pozbawiona dopływu świeżej krwi, miała jasną cerę, jasne włosy i niebieskie albo szare oczy. Chłopiec był ciemnowłosy, czarnooki i śniady. Posługiwał się językiem warstwy wykształconej, prawie niezrozumiałym dla wieśniaków ze wschodu.

Uważano go za przybłędę, Cygana lub Żyda, a udzielanie schronienia Cyganom i Żydom, zamkniętym w gettach i obozach zagłady, narażało jednostki i społeczności na najsrozsze kary ze strony Niemców.

Wioski w tej okolicy były zapomniane przez wieki. Niedostępne, położone daleko od ośrodków miejskich, znajdowały się w jednym z najbardziej zacofanych obszarów Europy Wschodniej. Nie istniały tam szkoły i szpitale, nie znano elektryczności, a mosty i brukowane drogi stanowiły rzadkość. Mieszkańcy niewielkich osad żyli tak samo jak ich przodkowie. Wioski toczyły właśnie o dostęp do rzek, lasów i jezior. Jedyne prawem było prastare prawo silnych i bogatych do narzucania swojej woli słabym i ubogim. Ludność,

podzieloną na katolicką i prawosławną, łączyła tylko wyjątkowa zabobonność oraz niezliczone choroby, nękające wieśniaków i ich zwierzęta.

Tutejsi chłopci byli ciemni i okrutni, choć nie z własnej winy. Ziemia była marna, klimat surowy. Rzeki, z których ryby wybrano niemal doszczętnie, często wylewały na pastwiska i pola, przemieniając je w bagna. Znaczną powierzchnię zajmowały rozległe moczary i trzęsawiska, a gęste lasy od niepamiętnych czasów zapewniały schronienie bandom buntowników i przestępców.

Niemiecka okupacja tylko pogłębiła nędzę i zaco-fanie regionu. Wieśniacy musieli oddawać pokąźną część swoich mizernych plonów to wojskom okupanta, to partyzantom. Odmowa mogła spowodować karny najazd na wioskę, po którym z domostw pozostawały dymiące zgliszcza.

*

Mieszkałem w chacie Marty, oczekując, że lada dzień, lada chwila zjawią się po mnie rodzice. Płacz nie przynosił ukojenia, a Marta nie zwracała uwagi na moje pochlipywanie.

Była stara i tak zgarbiona, jakby usiłowała przełamać się wpół, lecz nie dawała rady. Jej długie włosy, nieznanące grzebienia, splatały się w niezliczone kołtuny, których nie sposób było rozczesać. Nazywała je czarcimi warkoczami. Gnieździły się w nich złe moce, które – skręcając je ciasno – przyprawiały ją o zanik pamięci.

Kuśtykała, wsparta na sękatym kiju, mamrocząc do siebie w mowie, której prawie nie rozumiałem. Twarz miała drobną, zwiędłą, pokrytą siatką zmarszczek, skórę czerwonobrazową niczym jabłko zbyt długo trzymane w piecu. Zgrzybiałe ciało trzęsło się, jakby targały nim wewnętrzne wichry; palce kościstych rąk, o stawach wykręconych reumatyzmem, ani na chwilę nie przestawały dygotać, a głowa na długiej, chudej szyi kiwała się na wszystkie strony.

Staruszka wzrok miała słaby. Spozierała na światło przez osadzone pod krzaczastymi brwiami wąskie szparki, podobne do bruzd w zaoranej ziemi. Z kąćków oczu wiecznie sączyły się łzy, które – spływając po policzkach głębokimi wyżłobieniami – łączyły się z nitkami śluzu zwisającymi u nosa oraz pęcherzykami śliny ciekącej z ust. Chwilami przypominała starą, całkowicie przegniłą zielonoszarą purchawkę, czekającą, aż ostatni powiew wiatru wydmucha z niej czarny, suchy pył.

Początkowo lękałem się jej i zamykałem oczy, kiedy się do mnie zbliżała. Czułem wtedy bijący od niej przeraźliwy smród. Zawsze spała w ubraniu. Twierdziła, że stanowi ono najlepszą ochronę przed setkami chorób, jakie podmuch świeżego powietrza może wwiać do chaty.

Ażeby zachować zdrowie, mówiła, człowiek powinien się myć nie częściej niż dwa razy do roku, na Boże Narodzenie i na Wielkanoc, a nawet wówczas tylko pobieżnie, bez zdejmowania odzieży. Ciepłej wody używała jedynie po to, żeby ulżyć obolałym no-

gom – stopy jej pokrywały bowiem niezliczone guzy i odciski, paznokcie miała powrastane. Moczyła nogi zwykle raz lub dwa razy na tydzień.

Często głaaskała mnie po głowie drżącymi starczymi rękami podobnymi do grabi. Zachęcała mnie, żebym bawił się na podwórzu i zaprzyjaźniał ze zwierzętami domowymi.

Z czasem pojąłem, że zwierzęta te wcale nie są tak groźne, jak mi się wydaje. Przypomniałem sobie bajki, jakie czytała mi o nich niania. Miały własne życie, kochały się i sprzeczały, wiodły dyskusje w swoim niezrozumiałym dla ludzi języku.

Kury tłoczyły się w kurniku, rozpychając się, aby dostać do ziarna, które im sypałem. Jedne przechadzały się parami, inne dziobały słabsze towarzyszki albo kąpały się samotnie w kałużach pozostałych po deszczu lub też, strosząc pióra niczym elegantki, zasiadały na jajkach i szybko zasypiały.

Niezwykłe rzeczy działy się w zagrodzie. Z jajek wykluwały się żółte i czarne pisklęta, wyglądające jak małe żywe jajeczka na cienkich nóżkach. Pewnego razu samotny gołąb przyłączył się do stada. Przyjęto go z wyraźną wrogością. Kiedy wylądował na podwórzu, trzepocząc skrzydłami i wzbijając tumany pyłu, kury rozpierzchły się w popłochu. A gdy zaczął się do nich zalecać, gruchając gardłowo i zbliżając się drobnymi kroczkami, patrzyły na niego z góry i z pogardą. Ilekroć się przysuwał, umykały, gdacząc przeraźliwie.

Któregoś dnia, kiedy gołąb jak zwykle usiłował się zaprzyjaźnić z kurami i kurczętami, z chmur oderwał

się niewielki czarny kształt. Kury czmychnęły z wrzaskiem do obory i kurnika. Czarna kula spadała na stado jak kamień. Tylko gołąb nie miał gdzie się skryć. Zanim zdążył rozpostrzeć skrzydła, silny ptak z ostrym, zakrzywionym dziobem przydusił go do ziemi i zadał pierwszy cios. Pióra gołębia pokryły się cętkami krwi. Marta wybiegła z chaty, wymachując kijem, ale jastrząb odfrunął bez przeszkód, unosząc w dziobie zwiotczone ciało ofiary.

W niewielkim, szczelnie ogrodzonym kamieniami ogródku, Marta trzymała węża. Ślizgał się pośród liści, wywijając rozwidlonym językiem niby sztandarem na defiladzie wojskowej. Świat był mu całkiem obojętny; nie wiedziałem, czy mnie w ogóle dostrzega.

Pewnego razu wąż ukrył się w norze głęboko pod mchem i tkwił w niej bardzo długo bez jedzenia i picia, uczestnicząc w tajemniczych misteriach, o których nawet Marta nie chciała nic mówić. Kiedy się wyłonił, głowa błyszczała mu jak naoliwiona śliwka. Nastąpiło niezwykle widowisko. Najpierw wąż popadł w bezruch; jedynie powolne dreszcze przebiegały po jego zwiniętym ciele. Potem wysunął się nieśpiesznie ze starej skóry, stając się jakby szczuplejszy i młodszy. Nie wymachiwał językiem; miałem wrażenie, że czeka, aż nowa skóra mu stwardnieje. Stara, na wpół przezroczysta, leżała porzucona; spacerowały po niej z lekceważeniem muchy. Marta podniosła ją z czcią i ukryła głęboko. Taka skóra miała ważne właściwości lecznicze, ale staruszka oświadczyła, że jestem za młody, aby zrozumieć ich charakter.

W zdumieniu obserwowaliśmy przedziwną transformację. Marta wyjaśniła mi, że dusza ludzka w podobny sposób porzuca ciało i wzlataje do stóp Pana Boga. Kiedy znużona długą podróżą dociera do celu, Pan Bóg ujmuje ją w Swoje ciepłe dłonie, ożywia Swym oddechem, po czym albo przemienia w rajskiego anioła, albo strąca do piekieł, skazując na wieczne męki w ogniu.

Często odwiedzała chatę mała ruda wiewiórka. Najadłszy się do syta, wykonywała na podwórzu osobliwy taniec; biła ogonem ziemię, tarzała się i skakała, popiskując cichutko i siejąc popłoch wśród kur i gołębi.

Przychodziła do mnie codziennie, siadała mi na ramieniu, łaskotała mnie pyszczkiem w ucho, szyję, policzki, targała mi łapkami włosy. Po zabawie znikwała, wracając do lasu oddzielonego od chaty polem.

Pewnego dnia, słysząc jakieś głosy, pobiegłem na pobliskie wzniesienie. Ukryty w krzakach z przerażeniem ujrzałem, że gromada wyrostków goni wiewiórkę przez pole. Pędząc jak oszalała, usiłowała dotrzeć bezpiecznie do lasu. Wyrostki rzuciły przed nią kamienie, żeby odciąć jej drogę. Stworzonko słabło; jego skoki stawały się coraz krótsze i wolniejsze. W końcu łobuzom udało się osaczyć wiewiórkę, ale nadal broniła się dzielnie, kłusując ich ostrymi zębami. Wtedy, pochyliwszy się nad nią, polali ją jakimś płynem. Przeczując, że zaraz zdarzy się coś strasznego, zastanawiałem się rozpaczliwie, jak mogę pomóc mojej małej przyjaciółce. Ale było już za późno.

Jeden z wyrostków wyjął z zawieszanej na ramieniu puszkę rozżarzoną żagiew i dotknął nią zwierzątko.

Wiewiórka stanęła w ogniu. Z piskiem, od którego zamarło mi serce, podskoczyła, jakby usiłowała wyrwać się płomieniom. Ogień objął ją całą; tylko puszysty ogon dygotał jeszcze przez moment. Po czym drobne, dymiące ciało przekreśliło się na bok i znieruchomiło. Wyrostki gapily się na nie i śmiały, szturchając je patykami.

Od śmierci przyjaciółki nie miałem już rano na kogo czekać. Opowiedziałem o całym zajściu Marcie, ale chyba nic nie zrozumiała. Ciągle tylko mruczała coś pod nosem, modliła się i odprawiała wokół domostwa tajemnicze czary, żeby odpędzić śmierć, która – jak twierdziła – czyha w pobliżu, chcąc wkraść się do środka.

Marta zachorowała. Narzekała na ostre bóle pod żebrami, tam gdzie kołacze się serce, na zawsze zamknięte w swej klatce. Oświadczyła mi, że albo Bóg, albo szatan zesłał na nią chorobę, aby zniszczyć jeszcze jedną ludzką istotę, kładąc kres jej ziemskiemu bytowaniu. Nie rozumiałem, dlaczego Marta nie zrzuci jak wąż skóry i nie rozpocznie życia od początku.

Kiedy jej podsunąłem ten pomysł, rozgniewała się i zwymyślała mnie od bluźnierczych cygańskich błękartów, powinowatych diabła. Zaczęła mi wyjaśniać, że choroba wchodzi w człowieka, gdy najmniej się tego spodziewa. Może przycupnąć za nim na wozie, może wskoczyć mu na plecy, kiedy schyla się w lesie, zbierając jagody, albo wynurzyć się z rzeki, gdy płynie na drugi brzeg łodzią. Wkrada się do ciała niepostrzeżenie, podstępnie, przez wodę, powietrze, przez kontakt ze zwierzęciem lub drugim człowiekiem,

czasem zaś – mówiąc to zerknęła na mnie podejrzliwie – może ją wywołać spojrzenie ciemnych oczu osadzonych blisko orlego nosa. Takie oczy, zwane cygańskimi lub urocznymi, są w stanie spowodować paraliż, zarazę oraz śmierć. Dlatego właśnie zabraniała mi patrzeć prosto w oczy sobie, a nawet zwierzętom. Miałem przykazane splunąć szybko trzy razy i przeżegnać się, jeślibym przypadkiem napotkał wzrok jej lub któregoś ze zwierząt.

Często wybuchała gniewem, gdy ciasto, które zagmiotła na chleb, kvasiło się. Winila mnie, przekonana, że rzuciłem urok, i za karę przez dwa dni nie dostawałem chleba. Usiłując jej dogodzić, chodziłem po chacie z zamkniętymi oczami, potykając się o sprzęty i przewracając wiadra, a na zewnątrz depcząc grzędy kwiatowe; wpadałem na wszystko niczym ćma oślepią nagłym światłem. Marta zaś zbierała gęsie pierze i sypała na rozżarzone węgle. Unoszący się dym rozdmuchiwała po całej izbie, mamrocząc zaklęcia mające odczynić zły urok.

Wreszcie oznajmiała, że został zażegnany. I nie myliła się, bo następny bochen, jaki piekła, zawsze okazywał się smaczny.

Marta nie poddawała się chorobie i bólowi. Toczyła z nimi ciągłą, chytrą walkę. Kiedy ból zaczynał ją męczyć, brała kawał surowego mięsa, kroїła drobno i umieszczała w glinianym garnku. Zalewała mięso wodą wydobytą ze studni tuż przed wschodem słońca, po czym zakopywała garnek głęboko w rogu chaty. To, jak twierdziła, na kilka dni – dopóki niegniło mię-

so – przynosiło jej ulgę. Ale później, kiedy ból wracał, musiała cierpliwie powtarzać cały zabieg.

Marta nigdy nic nie piła w mojej obecności ani się nie uśmiechała. Wierzyła, że gdyby tak uczyniła, ja zaś policzyłbym jej zęby, skróciłoby to jej życie o tyle lat, ile ma zębów. Wprawdzie nie miała ich wiele, ale zdawałem sobie sprawę, że w jej wieku cenny jest każdy rok.

Ja również starałem się jeść oraz pić bez odsłaniania zębów, a przeglądając się w granatowoczarным lustrze studni, ćwiczyłem uśmiechanie się z zamkniętymi ustami.

Nie wolno mi było podnieść z ziemi ani jednego włosa, który wypadł Marcie. Jak się dowiedziałem, nawet pojedynczy włos, jeśli spojrzał na niego ktoś obdarzony złym wzrokiem, mógł wywołać długotrwałe bóle gardła.

Wieczorami Marta siadywała przy piecu, kiwając się i mamrocząc modlitwy. Usadawiałem się w pobliżu i rozmyślałem o rodzicach. Przypominałem sobie moje zabawki, teraz należące zapewne do innych dzieci: wielkiego pluszowego misia ze szklanymi oczami, samolot z twarzami pasażerów widocznymi w oknach i z obracającymi się śmigłami, mały zwrotny czołg oraz wóz strażacki z rozsuwaną drabiną.

Im ostrzejszy i wyraźniejszy był ten obraz, tym jakby cieplej robiło się w chacie Marty. Widziałem matkę siedzącą przy fortepianie, słyszałem słowa śpiewanych przez nią piosenek. Przypominałem sobie strach, jaki czułem przed operacją ślepej kiszki, przeprowadzoną, kiedy miałem zaledwie cztery lata, lśniąca szpitalne posadzki oraz gumową maskę, którą lekarze włożyli

mi na twarz; zasnąłem tak prędko, że nie zdołałem nawet policzyć do dziesięciu.

Jednakże te wspomnienia z przeszłości coraz szybciej stawały się iluzją, taką samą jak fantastyczne opowieści mojej starej niańki. Zastanawiałem się, czy rodzice kiedykolwiek mnie odnajdą. Czy wiedzą, że nie powinni nic pić ani uśmiechać się w obecności ludzi obdarzonych złym wzrokiem, którzy mogą policzyć im zęby? Na myśl o szerokim, beztroskim uśmiechu ojca ogarniał mnie niepokój; ojciec pokazywał tyle zębów, że na pewno wkrótce umrze, jeśli porachuje je ktoś o uroczych oczach.

Pewnego ranka, kiedy się obudziłem, w chacie było zimno. Ogień w piecu zgasł, lecz Marta wciąż siedziała na środku izby, ze spódnicami podwiniętymi do góry, a bosymi nogami zanurzonymi w kuble wody.

Usiłowałem nawiązać z nią rozmowę, lecz nie odpowiadała. Gdy połaskotałem jej zimną sztywną dłoń, guzowate palce nawet nie drgnęły. Ręka zwisała z poręczy fotela niczym mokra bielizna ze sznura w bezwietrzny dzień. Kiedy podniosłem Marcie głowę, jej wodniste oczy zdawały się patrzeć prosto na mnie. Takie oczy widziałem dotąd tylko raz, gdy na powierzchnię strumienia wypłynęły śnięte ryby.

Uznałem, że Marta czeka na zmianę skóry i, podobnie jak wężowi, nie wolno jej przeszkadzać. Nie bardzo wiedząc, co robić, postanowiłem uzbroić się w cierpliwość.

Była późna jesień. Wiatr łamał kruche gałązki i zdierał z drzew ostatnie pomarszczone liście, które ciskał w niebo. Kury tkwiły na swoich grzędach oso-

wiało, senne i markotne, otwierając niechętnie to jedno, to drugie oko. W chacie panował ziąb, a ja nie umiałem rozpałić ognia. Marta w ogóle nie reagowała na moje próby nawiązania rozmowy. Siedziała bez ruchu, wpatrzona w coś, czego nie mogłem dostrzec.

Nie mając nic innego do roboty, położyłem się z powrotem spać, ufny, że kiedy się zbudzę, Marta będzie krzątała się przy kuchni, zanosząc ponure modły. Ale gdy zbudziłem się wieczorem, nadal moczyła nogi. Byłem głodny i bałem się mroku.

Postanowiłem zapalić lampę naftową. Zacząłem szukać zapalek, które Marta zwykle gdzieś chowała. Zdjąłem ostrożnie lampę z półki, ale wymusnęła mi się z rąk i trochę nafty rozlało się na podłogę.

Zapalki nie chciały się palić. Kiedy wreszcie któraś rozbłysła, złamała się i wpadła do kałuży nafty. Początkowo ogień płąsał nieśmiało w miejscu, wydzielając tylko kłęb błękitnego dymu. Po czym nagle skoczył odważnie na środek izby.

Nie było już ciemno, widziałem Martę bardzo wyraźnie. Ona jednak nie dostrzegała tego, co się dzieje. Jakby nie przeszkadzał jej płomień, który dotarł do ściany i wspinał się po nogach wiklinowego fotela.

Nie było też zimno. Płomienie zbliżały się do wiadra, w którym Marta moczyła nogi. Musiała czuć żar, ale nawet nie drgnęła. Podziwiałem jej wytrwałość. Choć przesiedziała w ten sposób całą noc i cały dzień, nadal tkwiła bez ruchu.

W izbie zrobiło się strasznie gorąco. Płomienie pięły się po ścianach niczym pędy dzikiego winna. Kołysały

się, trzaskając jak deptane suche strąki, zwłaszcza przy oknie, gdzie słaby powiew wdzierał się do środka. Stałem przy drzwiach, gotów rzucić się do ucieczki, ale wciąż oczekiwałem, że Marta zaraz się poruszy. Siedziała jednak sztywno, jakby niczego nieświadoma. Języki ognia, niczym przyjazny pies, zaczęły lizać jej zwisające ręce, pozostawiając na nich purpurowe ślady, po czym uniosły się wyżej, do zmierzwionych włosów.

Przez moment migotały niby lampki choinkowe, po czym wzbily się w słup, tworząc stożkowaty kapelusz ognia na głowie siedzącej. Staruszka przeobraziła się w pochodnię. Płomienie otuliły ją ciasno ze wszystkich stron. Woda w kubie syczała, kiedy wpadały do niej strzępy wytartej kurtki z króliczych futer, którą Marta miała na sobie. Widziałem przez ogień płyty pomarszczonej, obwisłej skóry staruszki i białawe plamy na jej kościstych ramionach.

Krzyknąłem do niej po raz ostatni i wybiegłem na podwórze. W kurniku, który przylegał do chaty, kury gdały przerażone, głośno łopocząc skrzydłami. Zazwyczaj spokojna krowa muczała i waliła łbem w drzwi obory. Postanowiłem nie czekać na pozwolenie Marty i samemu wypuścić kury. Wybiegły jak oszalałe i – rozpaczliwie wymachując skrzydłami – usiłowały wzbic się w powietrze. Krowa zdołała wyłamać drzwi. Znalazła sobie punkt obserwacyjny w bezpiecznej odległości od pożaru, gdzie przystanęła, żując w zamyśleniu.

Wnętrze chaty przemieniło się w piec. Płomienie buchały z okien i szpar. Kryty strzechą dach zapalił się od spodu i dymił złowieszczo. Byłem zdumiony

zachowaniem Marty. Czyżby naprawdę nic nie czuła? Czyżby uroki i klątwy uczyniły ją odporną na ogień, który obracał w popiół wszystko dokoła?

Wciąż nie wychodziła, podczas gdy ja musiałem odsunąć się od chaty aż na skraj pola. Żar stawał się nieznosny. Kurnik i obora też zajęły się ogniem. Kilka szczurów, przerażonych gorącem, wybiegło w popłochu na podwórze. Żółte oczy kota, odbijające płomień, przyglądały się z mroku.

Marta nie ukazywała się, choć nadal wierzyłem, że lada moment wyłoni się cała i zdrowa. Dopiero gdy zawałiła się jedna ze ścian, grzebiąc zwęglone wnętrze, straciłem nadzieję, że jeszcze kiedykolwiek ujrzę staruszkę.

Wydało mi się, że w unoszących się kłębach dymu dostrzegam dziwny, podłużny kształt. Co to było? Czyżby dusza Marty wzlatująca do nieba? A może to sama Marta, zbudzona pożarem i wyzwolona ze starej, pomarszczonej skóry, opuszczała ziemię na ognistej miotle niczym wiedźma z bajki, którą opowiadała mi matka?

Gdy tak stałem wpatrzony w migoczące iskry i roztańczone płomienie, nagle z zadumy wyrwał mnie hałas ludzkich głosów i szczekanie psów. Nadciągali chłopci. Marta nieraz powtarzała, że bym się wystrzegał mieszkańców wioski. Mówiła, że jeśli mnie złapią, utopiają jak parszywego kociaka albo zarąbiają siekierą.

Zacząłem biec, kiedy tylko pierwsze ludzkie sylwetki ukazały się w kręgu światła. Nikt mnie nie widział. Gnałem jak szalony, wpadając na krzewy i potykając

się o niewidoczne pniaki, aż w końcu przewróciłem się i stoczyłem do jaru. Jeszcze przez chwilę słyszałem dolatujące z oddali krzyki i huk walących się ścian, ale zaraz potem zapadłem w sen.

Obudziłem się o świcie, skostniały z zimna. Całun mgły wisiał między brzegami jaru niczym pajęczyna. Wdrapałem się z powrotem na wzniesienie. Wstęgi dymu i pojedyncze płomienie unosiły się nad stertą zwęglonych belek i popiołów tam, gdzie niedawno stała chata Marty.

Wszędzie dookoła panowała cisza. Byłem przekonany, że wnet spotkam rodziców. Zawsze wierzyłem, że choć przebywają daleko, dobrze wiedzą, co się ze mną dzieje. Czyż nie jestem ich dzieckiem? Czyż nie od tego dzieci mają rodziców, aby byli przy nich w chwilach niebezpieczeństwa?

Na wypadek gdyby właśnie nadchodzili, zawołałem do nich. Ale nikt mi nie odpowiedział.

Byłem słaby z zimna i głodu. Nie miałem pojęcia, co robić ani dokąd iść. Rodzice wciąż się nie zjawiali.

Wstrząsany dreszczami, zwymiotowałem. Musiałem znaleźć ludzi. Musiałem udać się do wioski.

Kuśtykając na poobijanych nogach, ruszyłem niepewnie przez żółknącą jesienną trawę w kierunku oddległych chałup.